



GUILLAUME MUSSO

Czasami druga szansa
pojawia się zupełnie bez zapowiedzi...

KIM BYŁBYM BEZ CIEBIE

ALBATROS

Tytuł oryginału:
QUE SERAIS-JE SANS TOI?

Copyright © XO Éditions, Paris, 2009
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Joanna Prądzyńska 2011

Redakcja: Hanna Machlejd-Mościcka

Zdjęcie na okładce: Chao Kusollerschariya/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Tamtego lata...

Pierwsza miłość jest zawsze ostatnia.

TAHAR BEN JELLOUN

*San Francisco, Kalifornia
Lato 1995*

Gabrielle ma dwadzieścia lat.

Jest Amerykanką, studentką trzeciego roku na uniwersytecie w Berkeley.

Tamtego lata często chodzi w jasnych dżinsach, białej koszuli i dopasowanej, skórzanej kurtce. Ma długie gładkie włosy i zielone oczy, w których igrają złote punkciki. Podobna jest do Françoise Hardy, na fotografii zrobionej w 1960 roku przez Jean-Marie Périera. Tamtego lata spędza całe dni w bibliotece uniwersyteckiej albo pracuje jako ochotniczka w oddziale straży pożarnej przy California Street. Tamtego lata przeżyje swoją pierwszą miłość.

Martin ma dwadzieścia jeden lat.

Jest Francuzem, dopiero co zrobił licencjat z prawa na Sorbonie. Tamtego lata pojechał do Stanów Zjednoczonych, żeby szlifować swój angielski i po-

znać kraj od wewnątrz. Ponieważ „groszem nie śmierdzi”, przez siedemdziesiąt godzin tygodniowo wykonuje drobne prace: jest kelnerem, sprzedawcą lodów, ogrodnikiem...

Tamtego lata ma półdlugie krucze włosy i wygląda jak młody Al Pacino.

Tamtego lata przeżyje swoją ostatnią miłość.

Berkeley, kafejka uniwersytecka

– Hej, Gabrielle! Mam list dla ciebie!

Młoda kobieta siedząca przy jednym ze stolików podnosi oczy znad książki.

– Słucham?

– Mam dla ciebie list, ślicznotko! – powtarza Carlito, kierownik kafejki, kładąc na stoliku Gabrielle kremową kopertę obok filiżanki z herbatą.

Gabrielle marszczy brwi.

– Od kogo?

– Od tego Francuzika, Martina. Skończył już tu pracować, ale przyszedł dziś rano specjalnie, żeby zostawić ten list.

Gabrielle bezradnie patrzy na kopertę, po czym wsuwa ją do kieszeni i wychodzi.

Na wielkim, zielonym terenie kampusu, nad którym króluje dzwonnica, panuje wakacyjna atmosfera. Gabrielle idzie główną alejką, potem skręca w boczne, szukając w cieniu studentnich drzew wolnej ławki.

Siada w oddali od ludzi i otwiera kopertę z lękiem i ciekawością.

26 sierpnia 1995

Droga Gabrielle

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że jutro wracam do Francji i że nic nigdy nie będzie się dla mnie tak liczyło jak te kilka chwil spędzonych z Tobą podczas mojego pobytu w Kalifornii, w kafejce uniwersyteckiej na rozmowach o książkach, filmach, muzyce i przebudowywaniu świata.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że kilka razy naprawdę żalowałem, że nie jestem bohaterem powieści. W powieści lub filmie bohater daje jakoś dyskretnie bohaterce do zrozumienia, że mu się podoba, że lubi z nią rozmawiać i że kiedy na nią patrzy, przechodzą go dreszcze – delikatne, bolesne i paraliżujące zarazem. Że czuje się speszony wrażeniem totalnego porozumienia, przedziwnej, zbijającej z tropu bliskości. Że jest to coś wyjątkowego, czego nigdy przedtem nie czuł ani nie podejrzewał istnienia czegoś takiego.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że tamtego popołudnia, kiedy w parku zaskoczył nas deszcz i schroniliśmy się na ganku biblioteki, coś nieoczekiwanie pchnęło mnie ku Tobie. Myślę, że Ty także to poczułaś i że to nas oszołomiło. Mało brakowało, a pocałowalibyśmy się. Nie uczyniłem żadnej próby w tym kierunku, bo opowiadałaś mi o Twoim chłopaku, tym podróżującym po Europie, któremu byłaś wierna, i ponieważ nie chciałem, żebyś pomyślała, że jestem jednym z tych facetów, którzy bezczelnie i nachalnie Cię podrywają.

Wiem jednak, że gdybyśmy się wówczas pocałowali, odjeżdżałbym szczęśliwy, nie przejmując się niczym,

bo wiedziałbym, że trochę Ci na mnie zależy. Wiem, że ten pocałunek szedłby za mną stale i wszędzie jako niezapomniane wspomnienie, które dawałoby mi otuchę w chwilach samotności. Z drugiej strony mówi się, że najpiękniejsze historie miłosne to te niespełnione. Być może na tej zasadzie pocałunki, których się nie wymieniło, wzruszają dużo silniej niż te przeżyte.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że kiedy na Ciebie patrzę, myślę o filmie z taśmą przesuwaną z szybkością dwudziestu czterech klatek na sekundę. U Ciebie pierwsze dwadzieścia trzy klatki są świetliste i promienne, ale z dwudziestej czwartej emanuje prawdziwy smutek, który jest wielkim kontrastem ze światłem, jakie w sobie nosisz. Jest jak niewidoczna rysa w brylancie: brak, który określa Cię skuteczniej, niżbyś miała podziwiać wszystkie swe zalety czy sukcesy. Wiele razy zastanawiałem się, skąd ten smutek, wiele razy miałem nadzieję, że otworzysz się przede mną, ale to nie nastąpiło.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, żebyś dbała o siebie, żebyś nie poddawała się melancholii. Nie pozwól zatriumfować dwudziestej czwartej klatce. Zabroń wstępu demonom do Twojej anielskiej duszy.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że ja również uważam, iż jesteś wspaniała, słoneczna. Ale to mówią Ci wszyscy jak dzień długi, więc w końcu okazałem się taki jak inni.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że nigdy Cię nie zapomnę.

Martin

Gabrielle unosi głowę. Jest zachwycona i zaskoczona.

Już po pierwszych zdaniach zorientowała się, że ten list jest inny. Wie, o czym Martin pisze, lecz dotychczas patrzyła na to pod innym kątem. Rozgląda się, nie chce, aby jej twarz zdradziła wzruszenie. Kiedy czuje wzbierające łzy, ucieka z kampusu i wsiada do metra jadącego do centrum San Francisco. Zamierzała jeszcze zostać, żeby popracować w bibliotece, ale w obecnej sytuacji nie czuje się na siłach.

Siada na ławce w kolejce podziemnej. Z jednej strony jest zaskoczona treścią listu od Martina, z drugiej – list sprawił jej przyjemność, wprawiając jednocześnie w zakłopotanie. Nie codziennie zdarza jej się wzbudzić podobne zainteresowanie. Nie codziennie ludzie starają się ją zrozumieć, przeważnie rejestrują jej urodę i na tym się kończy.

Wszyscy myślą, że Gabrielle jest silna i towarzyska z natury, podczas gdy tak naprawdę jest bardzo wrażliwa i pełna sprzeczności. Nawet ci, którzy znają ją od lat, nie mają o tym pojęcia, a on przejrzał ją, zrozumiał w ciągu kilku tygodni.

Tego lata całe kalifornijskie wybrzeże dusi się w upale. Nawet San Francisco ze swoim mikroklimatem nie stanowi wyjątku. Pasażerowie kolejki podziemnej wyglądają jak otępiele od upału duchy. Ale duch Gabrielle nie jest z nimi. Gabrielle stała się bohaterką średniowiecznej powieści, eposu z czasów rycerskich. Z czasów, kiedy pojawia się miłość dworska. Chrétien de Troyes przysłał jej właśnie list, zdecydowany zmienić przyjaźń, którą ona go obdarza, w...

Gabrielle ponownie czyta list. Sprawia jej to wielką przyjemność, ale jednocześnie także ból.

Nie, Martinie Beaumont, zdecydowanie nie jesteś taki jak inni...

Czyta list znowu i znowu. Jest szczęśliwa, zrozpaczona, niezdecydowana.

Do tego stopnia niezdecydowana, że zapomina wysiąść na swojej stacji. Żeby wrócić do domu, będzie musiała przejechać dodatkowo przystanek w tym upale.

Brawo, średniowieczna bohaterko, *well done!*

*

Nazajutrz, 09.00

Lotnisko w San Francisco

Pada.

Jeszcze niezupełnie obudzony Martin zdusza ziewnięcie i zaciska dłoń na autobusowym przęciu. Sfatygowany pojazd tańczy na wirażu. Martin ma na sobie popelinowy płaszcz, dziurawe džinsy, zniszczone adidas i T-shirt z podobiznami członków jakiegoś zespołu rockowego.

Tamtego lata wszyscy chłopcy mają w sobie coś z Kurta Cobaina.

W głowie Martina kłębią się wspomnienia z dwóch miesięcy spędzonych w Ameryce. Naoglądał się i przeżył też sporo. Kalifornia jest tak bardzo różna od Évry i paryskich przedmieść. Przed wakacjami zamierzał na jesieni złożyć papiery i podejść do konkursowego egzaminu na oficera policji, ale teraz, po pobycie w Kalifornii, po wakacjach, w czasie których symbolicznie przeszedł inicjację do dorosłości, wszystko się zmieniło. Ten chłopak z przedmieść nabrał w Ameryce pewności siebie, bo choć życie tam było równie ciężkie jak gdzie indziej, ambitni mieszkańcy tego kraju nigdy nie tracili nadziei na realizację swoich marzeń.

A marzeniem Martina było zostać pisarzem i pisać wzruszające historie, historie o zwykłych ludziach, którym zdarzają się rzeczy niezwykle. Bo rzeczywistość mu nie wystarczała, fikcja była zawsze obecna w jego życiu. Już gdy był małym chłopcem,

jego ulubieni bohaterowie wyciągali go często z tarapatów, pocieszali, gdy był smutny i zawiedziony. Bajki karmiły jego wyobraźnię, wysubtelniały emocje, pozwalały spojrzeć na rzeczywistość w świetle, które czyniło ją możliwą do zaakceptowania.

Autobus z Powell Street wyrzuca pasażerów przed terminalem lotów międzynarodowych. Wszyscy się przepychają, Martin chwyta swoją gitarę. Objuczony jak muł wychodzi ostatni z autobusu, grzebie w kieszeni, znajduje bilet i zaczyna się rozglądać.

Nie od razu ją zauważa.

Zaparkowała w drugim rzędzie samochodów, nie gasząc silnika.

Gabrielle.

Jest przemoczona od deszczu, jest jej zimno i lekko drży.

Rozpoznają się. Biegną ku sobie.

Obejmują się i serca tłuką im się w piersiach, tak jak to się dzieje za pierwszym razem, kiedy wszystko wydaje się możliwe.

Potem ona uśmiecha się i mówi zaczepnie:

– A więc, Martinie, naprawdę myślisz, że najgorętsze pocałunki to te, których się nie wymieniło?

Całują się.

Usta szukają ust, oddechy łączą się w jeden, mokre włosy Gabrielle mieszają się z mokrymi włosami Martina. Martin dotyka dłonią szyi Gabrielle, ona przykładą dłoń do jego policzka. Szybko, niezręcznie, wymieniają kilka miłosnych słów.

– Zostań jeszcze trochę! – prosi Gabrielle Martina.

Martin nie wie, że przeżywa najszcześniejsze chwile w życiu. Nigdy nie spotka go nic podobnie czystego, promiennego i gorącego jak spojrzenie zielonych, błyszczących w deszczu oczu Gabrielle tamtego ranka, tamtego lata.

I ten proszący głos: „Zostań jeszcze trochę!”.

San Francisco

28 sierpnia – 7 września 1995

Dopłacając sto dolarów, Martin przebukował bilet. Ta suma pozwoliła mu przeżyć dziesięć najważniejszych dni w życiu.

Kochają się.

Przytulają do siebie w księgarniach na uliczkach Berkeley, gdzie panuje wciąż atmosfera cyganerii.

W kinie na Reid Street niewiele dociera do nich z akcji z wyświetlanego właśnie *Leaving Las Vegas*, tak zajęci są pocałunkami i pieścizotami.

Podobnie w restauracyjce przy ogromnym hawajskim hamburgerze z ananaseм i butelce wina.

Są w sobie zakochani.

Wyglupiają się, zachowują jak dzieci, gnają po plaży, trzymając się za ręce.

Są w sobie zakochani.

W pokoju w akademiku on improwizuje dla niej na gitarze nową wersję *Walca na tysiąc taktów* Jacques'a Brela. Ona tańczy, najpierw wolno, rozmarzona, potem coraz szybciej, wirując jak derwisz z wyciągniętymi w górę ramionami, a dłońmi zwróconymi wewnętrzną stroną ku niebu.

On porzuca gitarę i przyłącza się do jej transu. Wirują i przewracają się na ziemię jak puszczone w ruch dziecięcy bąk...

Kochają się...

Wiszą w powietrzu... Fruną...

Są Bogiem, aniołami, są sami, jedyni.

Świat wokół znika, staje się dekoracją w teatrze tylko dla nich stworzonym.

Są zakochani.

Ta miłość jest ich krwią.

Ich alkoholem.

Ich jest ten moment, ich cała wieczność.
Jednocześnie czują strach.
Strach przed uzależnieniem się od siebie.
Strach, że zabraknie im powietrza.
Oczywistość. Konsternacja.
Grom. Unicestwienie.
Najpiękniejsza z wiosen, najgwałtowniejsza z burz.
Ale są w sobie tak zakochani...

*

Ona go kocha.
W środku nocy.
W samochodzie, na parkingu w Tenderloin, niebezpiecznej
dzielnicy miasta. Z radia rozbrzmiewa wibrujący dźwięk gang-
sta rapu i piosenki *Smells Like Teen Spirit*.

Nieważne ryzyko, nieważne, że w każdej chwili w świetle
reflektorów mogą zostać zaatakowani przez członków jakiegoś
gangu albo zaskoczeni przez patrol policji.

Tamto spełnienie na parkingu to nie romantyczne zaloty,
ukradkowe spojrzenia czy bukiet róż. To druga strona mi-
łości, to jak przypalenie rozżarzoną metalowym prętem,
które wrywa więcej, niż ofiarowuje. Tamtej nocy to dawka
narkotyku, zachłyśnięcie się narkomana. Gabrielle chce mu
pokazać swoją inną, nie tak gładką stronę pozornie roman-
tycznego portretu. Pęknięcie, rysę, dwudziestą czwartą klat-
kę. Chce się przekonać, czy on pójdzie tam za nią, czy też
zostawi ją samą.

Tamtej nocy nie jest jego ukochaną, jest jego kochanką.

Because the night belongs to lovers.

Because the night belongs to us.

*

On ją kocha.
Kocha ją czule.
Na plaży, rankiem.
Zasnęła na jego płaszczu. Położył głowę na jej brzuchu.
Młodzi kochankowie, pieszczeni letnim wiatrem, w różowym świetle kalifornijskiego nieba.
Zmęczeni miłością, serca mają złączone, sklezione. Małe radio stojące obok na piasku nadaje starą balladę.

*

8 września 1995, 09.00
Lotnisko w San Francisco

Koniec snu.
Oboje stoją w holu lotniska, pośród tłumu, w hałasie.
Rzeczywistość w końcu wygrała pojedynek z iluzją ponadczasowego uczucia.
Szok jest brutalny. Boli.
Martin szuka wzroku Gabrielle. Tego ranka z oczu opadły mu złote łuski. Nie wiedzą, co mają sobie powiedzieć. Obejmują się gorączkowo, wczepiają w siebie, każde z nich stara się znaleźć w tym drugim siłę, której mu brak. W tej grze Gabrielle jest silniejsza. Ona wiedziała, że dni szczęścia wykrada losowi, podczas gdy on myślał, że szczęście będzie trwało wiecznie.
Ale to jej jest zimno. Martin zdejmuje więc płaszcz z moleskinu i okrywa jej ramiona. Na początku ona odmawia w stylu: „jestem odporna”, „wcale mnie marzną”, ale on naciska, widzi, że dziewczyna trzęsie się z zimna. Teraz ona zdejmuje z szyi srebrny łańcuszek z maleńkim Krzyżem Południa i daje mu go do ręki.
Po raz ostatni wzywają pasażerów do samolotu. Teraz już naprawdę muszą się rozstać.

Po raz setny Martin pyta Gabrielle:

– Ten twój chłopak, który jest teraz w Europie... Kochasz go?

Gabrielle jak zwykle przy tym pytaniu zamyka mu usta palcem i nie patrzy na niego.

Obie sylwetki odklejają się od siebie. Martin idzie w kierunku terminalu odlotów, nie spuszczać Gabrielle z oczu.

*

9 września, Paryż

Lotnisko Charles'a de Gaulle'a

Po dwóch międzylądowaniach i wielu opóźnieniach lot Aer Lingus ląduje na Roissy pod wieczór. W San Francisco było jeszcze lato. W Paryżu jest już jesień. Niebo ciemne, brudne. Skonsternowany, z oczami czerwonymi od niewyspania Martin czeka na swój bagaż. Na ekranie telewizora jakaś blondyna po liftingu krzyczy: „Bóg dał mi wiarę!”. Jeszcze tego ranka Martin był w Ameryce Clintona, a wieczorem jest już we Francji Chiraca. I nienawidzi swej ojczyzny, bo nie jest to ojczyzna Gabrielle.

Bierze walizkę i gitarę, po czym rusza w długą podróż do domu: najpierw RER-em linii B do stacji Châtelet-Les-Halles, potem RER-em linii D w kierunku Corbeil-Essonnes, żeby dotrzeć do Évry, a potem autobusem jadącym do osiedla Piramidy. Chciałby, żeby muzyka odcięła go od codzienności, ale baterie w walkmanie dawno się wyczerpały. Martin jest spłoszony, dezorientowany, czuje się tak, jakby ktoś wstrzyknął mu truciznę do serca. Po pewnym czasie uświadamia sobie, że po policzkach płyną mu łzy i że głupie typy obok gapią się i wyśmiewają z niego. Stara się opanować: lepiej nie okazywać słabości, jeśli siedzi się w autobusie jadącym w kierunku Pira-

mid. Odwraca więc głowę i po raz pierwszy uświadamia sobie, że tej nocy nie będzie przy nim Gabrielle.

I lzy płyną z podwójną siłą.

*

Północ.

Martin wychodzi z pokoiku, który zajmuje w mieszkaniu komunalnym należącym do jego dziadków.

Winda nie działa. Trzeba zejść pieszo z dziewiątego piętra. Skrzynki na listy powyrywane, na klatce ktoś się awanturuje. Tutaj nic się nie zmieniło od jego wyjazdu.

Przez pół godziny szuka budki telefonicznej, która nie byłaby zdewastowana, po czym wsuwa do otworu kartę na pięćdziesiąt jednostek i wykręca numer na drugim kontynencie.

*

W odległym o dwanaście tysięcy kilometrów San Francisco jest wpół do pierwszej po południu. W kafejce na terenie kampusu Berkeley dzwoni telefon...

*

49, 48, 47...

Z żołądkiem związanym w supeł Martin zamyka oczy i mówi:

– Gabrielle? To ja. Stawiam się wiernie jak zwykle w południe.

Gabrielle najpierw uśmiecha się, bo jest zaskoczona i szczęśliwa, a potem płacze, bo to rozstanie jest męką.

38, 37, 36...

Martin mówi, jak bardzo mu jej brak, że ją uwielbia, że nie wie, jak będzie mógł żyć bez niej...

Gabrielle mówi, jak bardzo chciałaby być obok niego, spać u jego boku, całować go, pieścić, gryźć, zabić z miłości.

...25, 24, 23...

Martin słucha jej głosu i wszystko do niego wraca: czuje zapach jej skóry, woń piasku, jej włosy pełne wiatru, jej „całuję cię”...

...jego „całuję cię”, jego dłoń na swojej szyi, jego oczy szukające jej oczu, uściski gwałtowne i łagodne zarazem.

...20, 19, 18...

Martin patrzy w panice na ekran z płynnego kryształu w aparacie telefonicznym; obserwowanie, jak szybko mijają opłacone jednostki czasu, jest męką.

...11, 10, 9...

Potem już tylko milczą, bo wzruszenie ściska im gardła.

Słuchają bicia swoich serc, które uderzają jednym rytmem, i oddechów, które, chociaż rozdzielone setkami kilometrów kabla telefonicznego, jednak mieszają się ze sobą.

...3, 2, 1, 0...

*

W tamtych czasach nie było jeszcze Internetu, e-maili, Skype’a czy różnych ICQ.

W tamtych czasach listy miłosne wysyłane z Francji do Kalifornii szły dziesięć dni.

W tamtych czasach, kiedy napisałeś „Kocham Cię!”, musiałeś czekać na odpowiedź trzy tygodnie.

A czekanie przez trzy tygodnie na „Kocham Cię” naprawdę jest nieludzkie, kiedy się ma dwadzieścia lat.

*

Tak więc listy od Gabrielle pojawiają się coraz rzadziej, aż zupełnie przestają przychodzić.

Potem Gabrielle coraz rzadziej odpowiada na telefon, czy to w kafejce, czy w jej pokoju w akademiku, a najczęściej zleca swojej współlokatorce odbieranie wiadomości od Martina.

Którejś nocy doprowadzony do ostateczności Martin wyrywa słuchawkę z telefonu i rozbija nią szklaną ścianę budki. Ze wściekłości zrobił to, co zawsze potępiał u innych. Stał się taki jak ci, których zawsze nienawidził, którzy niszczyli miennie społeczne, którzy przed snem wypijali karton piwa, cały dzień palili trawkę, mając w nosie życie, szczęście i nieszczęście, wczoraj i jutro.

Martin w rozpacz zaczyna żałować, że spotkał taką miłość, ponieważ teraz nie wie, jak żyć. Każdego dnia wmawia sobie, że jutro będzie lepiej, że czas leczy rany, ale następnego dnia tylko pograża się jeszcze bardziej.

*

W końcu jednak dochodzi do wniosku, że jeśli ponownie chce zdobyć Gabrielle, musi w to włożyć całe serce. Postanawia działać, żeby mieć siłę wypłynięcia na powierzchnię. Wraca na uniwersytet, znajduje pracę w Carrefourze w Évry 2. W nocy pracuje jako parkingowy i oszczędza każdy grosz.

W tym momencie życia przydałby mu się starszy brat, ojciec, matka, wierny przyjaciel, ktoś, kto by mu doradził, żeby nigdy w nic nie wkładał „całego serca”, ponieważ ten, kto tak robi, ryzykuje, iż nigdy już nikogo nie pokocha.

Ale Martin nie ma nikogo bliskiego, kogo rad mógłby posłuchać, słucha więc tylko swego głupiego serca.

*

10 grudnia 1995

Najukochańsza Gabrielle

Pozwól mi jeszcze tak się do Ciebie zwrócić, nawet jeśli to będzie ostatni raz.

Nie robię sobie złudzeń, wiem, że mi się wymykasz.

Co do mnie, to rozstanie wzmocniło moje uczucie i mam nadzieję, że jeszcze choć trochę za mną tęsknisz.

Gabrielle, wciąż jestem przy Tobie.

Jestem bliżej Ciebie niż kiedykolwiek.

Na razie jesteśmy jak dwie osoby stojące po dwóch stronach rzeki, które dają sobie znaki. Czasem spotykają się na chwilę na moście, spędzają razem trochę czasu, chroniąc się przed złym wiatrem, a potem każda z nich wraca na swój brzeg, czekając, aż kiedyś będą mogli spotkać się na dłużej. Kiedy zamykam oczy i wyobrażam sobie nas za dziesięć lat, ukazują mi się obrazy szczęścia: słońce, śmiejące się dzieci, porozumiewawcze spojrzenia, jakie rzucają sobie wciąż zakochani małżonkowie.

Nie chcę tego stracić.

Jestem tu, Gabrielle, na drugim brzegu.

Czekam na Ciebie.

Rozdzielający nas most wygląda, jakby był w złym stanie, ale jest solidny, zbudowany z pni stuletnich drzew, które oparły się wielu burzom.

Rozumiem, że boisz się po nim przejść.

Wiem, że może nigdy się na to nie zdobędziesz.

Ale zostaw mi trochę nadziei.

Nie proszę Cię o żadne obietnice, o odpowiedź, o decyzję.

Daj mi tylko znak.

*Ten znak możesz mi dać w bardzo prosty sposób.
Wraz z moim listem wysyłam Ci prezent na Boże
Narodzenie: bilet na samolot do Nowego Jorku z datą
24 grudnia. Przyjdę tego dnia na Manhattan i przez
cały dzień będę na Ciebie czekał w Café DeLalo obok
Empire State Building. Przyjdź tam, jeśli wierzysz, że
mamy przed sobą wspólną przyszłość.*

*Całuję Cię,
Martin*

24 grudnia 1995, Nowy Jork, 09.00

Kroki Martina skrzypią na świeżym śniegu. Zimno jak na biegunie, ale niebo jest przejrzyste i niebieskie, w powietrzu na lekkim wietrze wirują płatki śniegu.

Nowojorczycy odśnieżają chodniki przed swymi domami. Ich dobry humor podtrzymują dekoracje świąteczne i dźwięki kolęd, dobiegające z każdego, nawet najmniejszego sklepiku.

Martin wchodzi do Café DeLalo. Zdejmuje rękawiczki, czapkę i szalik, zaciera ręce, żeby się rozgrzać. Nie spał od dwóch dni i czuje się tak, jakby miał gorączkę, jest podniecony, jakgdyby przez kroplówkę dostał dawkę kofeiny.

Miejsce jest przytulne i panuje w nim świąteczna atmosfera. Z sufitu zwisają girlandy, aniołki z cukru i figurki z piernika. Pachnie cynamonem, kardamonem i racuszkami bananowymi. Muzyka w tle to kolędy na przemian ze standardami popu. Tej zimy najpopularniejszy jest zespół Oasis. Co godzina każda stacja nadaje *Wonderwall*.

Martin zamawia gorącą czekoladę z warstwą maleńkich pianek cukrowych, po czym siada przy stoliku koło okna.

Jest pewien, że Gabrielle stawi się na spotkanie.

O dziesiątej po raz tysięczny sprawdza godziny na bilecie, który jej wysłał:

Wylot – 23 grudnia **22.55** – San Francisco SFO

Przylot – 24 grudnia **07.15** – Nowy Jork JFK

Nie niepokoi się: pada śnieg, więc samoloty na pewno będą opóźnione. Za oknem na chodniku przepływający tłum wygląda jak oddziały pokojowej armii, która zamiast broni dzierży w dłoniach kubeczki z plastikowymi pokrywkami.

O jedenastej Martin przegląda egzemplarz „USA Today” zostawiony na stoliku przez jakiegoś klienta. W gazecie niekończąca się dyskusja na temat uniewinnienia O.J. Simpsona, naglej zwyżki na giełdzie i *Ostrego dyżuru*, serialu, którym pasjonują się ostatnio wszyscy Amerykanie. Bill Clinton jeszcze nie spotkał Moniki i dzielnie forsuje swój projekt polityki socjalnej w Kongresie.

Gabrielle na pewno przyjdzie.

W południe Martin zakłada słuchawki walkmana i zamyśla się, spacerując wraz z Bruce'em Springsteenem „po ulicach Filadelfii”.

Gabrielle na pewno przyjdzie.

O pierwszej Martin kupuje sobie hot doga przy ulicznym straganie, nie spuszczać oczu z wejścia do kawiarni, na wypadek gdyby...

Gabrielle na pewno przyjdzie.

O drugiej zaczyna czytać *Buszującego w zbożu*, którego egzemplarz kupił na lotnisku.

Mija następna godzina. Martin przeczytał cztery strony.

Gabrielle na pewno przyjdzie.

O czwartej Martin wyjmuje swego Game Boya, przegrywa cztery partie Tetrisa w niecałe dziesięć minut.

Czy Gabrielle przyjdzie?

O piątej pracownicy kawiarni zaczynają spoglądać na niego podejrzliwie.

Przyjdzie albo nie przyjdzie.

O szóstej zamykają lokal. Martin wychodzi ostatni.

Jest już na ulicy, ale jeszcze myśli, że Gabrielle może przyjść.

Tymczasem...

*

San Francisco, 15.00

Ze ściśniętym sercem Gabrielle idzie po plaży w stronę oceanu. Pogoda odzwierciedla jej nastrój: Golden Gate ginie we mgle, nad Alcatraz wiszą ciężkie chmury i wieje silny wiatr. Żeby nie było jej tak zimno, otuliła się płaszczem od Martina.

Siada po turecku na piasku i wyjmuje z torby plik listów od niego. Czyta powtórnie niektóre fragmenty. *Kiedy myślę o Tobie, serce bije mi szybciej. Chciałbym, żebyś tu była, żebyś weszła w moją noc. Chciałbym zamknąć oczy, otworzyć je i zobaczyć Cię...* Gabrielle wyjmuje z koperty drobne upominki od niego: czterolistną koniczynę, szarotkę, stare czarno-białe zdjęcie Jean Seberg i Jeana-Paula Belmondo w filmie *Do utraty tchu...*

Wie dobrze, że połączyło ich coś wyjątkowego. Powstała między nimi silna więź. Na podobne porozumienie z drugą osobą nie ma co liczyć. Wyobraża sobie Nowy Jork i czekającego na nią Martina, w tej kawiarni, gdzie mieli się spotkać. Myśli o nim i płacze.

*

W Nowym Jorku kawiarnia jest zamknięta od pół godziny, ale Martin stoi nieruchomo, trzęsąc się z zimna, i wciąż czeka. W tym momencie nie wie, co naprawdę czuje do niego Ga-

brielle. Nie wie, jakim zbawieniem był dla niej związek z nim, nie wie, jak bardzo potrzebowała jego uczucia, nie wie, jak była zagubiona i rozbita, zanim go poznała. Nie wie, jaką był dla niej podporą w bardzo trudnym momencie...

*

W San Francisco Gabrielle nadal stoi na plaży, ale zaczyna padać deszcz. Z daleka słychać ponury sygnał organów wodnych*, który wibruje przy akompaniamencie fal wpływających w ich kamienne korytarze. Gabrielle wstaje i idzie do tramwaju, który jedzie w górę stromego wzniesienia Fillmore Street. Jak automat jedzie tą trasą, która prowadzi ją do miejsca położonego o dwie przecznice za Grace Cathedral, do Lenox Medical Center.

Owinięta płaszczem Martina przechodzi przez kilka automatycznych drzwi. Mimo świątecznych dekoracji w oświetlonym mdłym światłem holu panuje atmosfera smutku.

Doktor Elliott Cooper, który stoi przy automacie z napojami, poznaje Gabrielle i domyśla się, że dziewczyna musiała płakać.

– Dzień dobry, Gabrielle! – mówi, starając się uśmiechem dodać jej animuszu.

– Dzień dobry, panie doktorze.

*

Martin czekał na Gabrielle do dwudziestej trzeciej, samotny w lodowatą noc. Płomień w sercu wypalił mu się do końca

* Ang. *Wave Organ* – rodzaj organów wodnych skonstruowanych na końcu moła za St. Francis Yacht Club w San Francisco, kiedy w 1986 roku likwidowano tam dziewiętnastowieczny cmentarz. „Instrument” zrobiony jest z resztek kamieni nagrobnych, pomników, rur PCW i z cementu, aby „grał muzykę zatoki”, kiedy fale morskie będą wpływały do rur, wydając rezonans.

i ogarnął go wstyd. Wstydzi się, że z sercem na dłoni, pełen młodzieńczego entuzjazmu, tak naiwnie się odstąpił.

Postawił wszystko na jedną kartę i przegrał.

Błądzi więc teraz po mieście: po Czterdziestej Drugiej Ulicy, po barach, knajpach, pije, zawiera ryzykowne znajomości. Tej zimy Nowy Jork jest jeszcze Nowym Jorkiem. Nie tym Warhola czy Velvet Underground, ale również nie tym aseptycznym Nowym Jorkiem, którym stanie się parę lat później. Jest to wciąż miasto niebezpieczne, miasto półświatka dla tego, kto wypuści na wolność swoje demony.

Tej nocy po raz pierwszy spojrzenie Martina staje się posępne i bezlitosne.

Nigdy nie zostanie pisarzem. Będzie policjantem, będzie myśliwym.

Tej nocy utracił nie tylko miłość.

Utracił również nadzieję.

*

No i tak.

To jest historia o prawdziwym życiu.

Historia mężczyzny i kobiety, którzy biegną ku sobie.

Wszystko zaczęło się od pocałunku pewnego letniego poranka pod niebem San Francisco.

Wszystko prawie się skończyło pewnej wigilijnej nocy w nowojorskim barze i w klinice kalifornijskiej.

Minęły lata...

2

Najwięksi złodzieje...

*Z tego samego powodu kogoś się kocha,
co nienawidzi.*

RUSSELL BANKS

*Paryż, lewy brzeg Sekwany,
29 lipca, 03.00*

Złodziej

Była letnia noc.

Na dachach muzeum Orsay jakiś cień ukradkiem wślizgnął się za jeden z kominów. Przez chwilę sylwetka jego pojawiła się w poświacie księżyca.

Ubrany w ciemny kombinezon Archibald McLean przyczepił do specjalnego urządzenia przy pasku dwie liny. Poprawił czarną wełnianą kominiarkę wsuniętą na pomazaną na ciemno twarz. Oczy miał błyszczące. Przypiął plecak i popatrzył na rozciągające się w dole miasto. Z dachu słynnego muzeum był przepiękny widok na zabytki prawego brzegu Sekwany: wielki pałac Luwru ugiął się pod zdobięcymi go rzeźbami, bazylika Sacré Coeur górowała nad miastem niczym gigantyczna beza, dach Grand Palais przysłaniał diabelski młyn ustawiony w lu-

naparku w Ogrodzie Tuileries, w oddali błyszcząca zielonożłota kopuła opery Garniera. Widok stolicy nocą nadawał miastu walor ponadczasowy. To był Paryż Arsena Lupina, Paryż *Upiora z opery*.

Archibald naciągnął specjalne rękawiczki, zrobił kilka ćwiczeń rozciągających mięśnie i rozwinął linę wzdłuż kamiennej ściany budynku. Zadanie, które czekało go tego wieczoru, było trudne i ryzykowne, ale tym bardziej kuszące.

Policjant

To szaleństwo! – pomyślał ukryty w samochodzie kapitan policji Martin Beaumont obserwujący przez lornetkę Archibalda McLeana, najślynniejszego współczesnego złodzieja obrazów, którego śledził już od ponad trzech lat.

Martin był podekscytowany. Tego wieczoru miał wziąć udział w aresztowaniu złodzieja, jakiego policjant spotyka w życiu tylko raz. Bardzo długo oczekiwał tej chwili. Wielokrotnie ją sobie wyobrażał. Ten wyczyn wzbudzi zazdrość zarówno Interpolu, jak i wszystkich prywatnych detektywów wynajętych przez miliarderów, których Archibald okradł.

Martin wyregulował lornetkę, żeby wyostrzyć obraz. Nieuchwytny cień Archibalda wreszcie stał się zauważalny. Z bijącym sercem Martin patrzył, jak złodziej zrzuca linę z dachu i ześlizguje się wzdłuż ściany muzeum, aby dotrzeć do dwóch ogromnych zegarów wbudowanych w elewację budynku od strony Sekwany.

Przez chwilę miał nadzieję, że zobaczy twarz Archibalda, lecz ten stał zwrócony plecami do niego i był zbyt

daleko. Nie do wiary, ale przez dwadzieścia pięć lat jego „działalności” nikt nigdy nie widział jego twarzy...

*

Archibald zawisł nieruchomo przed wewnętrzną częścią szklanego zegara, z którego padało blade światło. Przylepiony do tarczy o siedmiometrowej średnicy czuł, jak czas go pogania. Wiedział, że w każdej chwili może zostać zauważony. Spojrzał w dół. Nabrzeża Sekwany były spokojne, ale nie wyludnione. Co jakiś czas przejeżdżała taksówka, zauważył też kilku nocnych spacerowiczów oraz ludzi wracających do domu po nocnych atrakcjach.

Nie spiesząc się, uchwycił wystającą kamienną krawędź i odpiął od pasa kółko z diamentowymi zębami. Szybkim, szerokim i spokojnym ruchem zarysował szybę tam, gdzie mosiężny stelaż nachodził na siebie, zaznaczając godzinę szóstą. Tak jak oczekiwał, kółko jedynie zadrapało szkło, rysując maleńki okrąg. Archibald zamocował w nim potrójne przyssawki, po czym wziął aluminiowy cylinder długości latarki ręcznej, którym zręcznym i pewnym ruchem kilkakrotnie przeprowadził promień lasera po zarysowanej linii. Promień ten niczym nóż do cięcia szkła wbił się w rysę precyzyjnie i głęboko. Rysa pękła. Kiedy szkło ustąpiło, Archibald pchnął przyssawki. Ciężka szyba oddzieliła się od reszty jednolitą masą. Archibald powoli ją odłożył. Przed nim ział okrągły otwór o brzegach ostrych jak gilotyna. Ze zręcznością akrobaty wślizgnął się do niego. Znalazł się w jednym z najpiękniejszych muzeów świata. Miał pół minuty do włączenia się alarmu.

*

Z nosem przyklejonym do szyby Martin nie wierzył własnym oczom. Co za spektakularne wtargnięcie do wnętrza muzeum! No, ale lada moment włączy się alarm. Służba ochrony

muzeum Orsay została bardzo wzmocniona po zeszłorocznym ataku bandy podpitych osobników, którzy zdołali wdrzeć się do muzeum, wyłamując wyjście awaryjne. Przez kilka dobrych minut przechadzali się po salach, zanim ich złapano. Pocięli słynny obraz Moneta *Most w Argenteuil*.

Sprawa odbiła się szerokim echem. Minister kultury stwierdził, że to niedopuszczalne, aby można było wejść do muzeum Orsay jak do pierwszego lepszego niestrzeżonego budynku. W rezultacie wyszukano wszystkie słabe strony w systemie alarmowym placówki. Jako członek CBWPZ, Centralnego Biura do Walki z Przemysłem Zabytków, Martin Beaumont został konsultantem w sprawie zabezpieczenia wszystkich wejść do muzeum. Teoretycznie słynne sale z obrazami impresjonistów były od tej chwili nie do zdobycia.

Ale co jest nie tak z tym cholernym alarmem?!

*

Archibald wylądował na jednym ze stołów kawiarni. Wielki szklany zegar wychodził dokładnie na Café des Hauteurs, na ostatnim piętrze muzeum, niedaleko sal poświęconych impresjonistom. Złodziej spojrzął na zegarek: jeszcze dwadzieścia pięć sekund. Zeskoczył na podłogę i wbiegł po schodach prowadzących do galerii. Niewidzialna armada promieni podczerwonych broniła pięćdziesięciu metrów korytarzy muzealnych. Archibald wysukał spojrzeniem centralkę alarmu i odkręcił jej obudowę, po czym podłączył do niej urządzenie elektroniczne niewiele większe od iPod'a. Na ekranie ukazały się migające z niezwykłą szybkością rzędy cyfr. Dwie kamery umieszczone na suficie i zaopatrzone w czujniki ciepłe powinny się włączyć lada chwila. Jeszcze tylko dziesięć sekund...

*

Martin nie mógł dłużej wytrzymać. Wysiadł z samochodu i przeciągnął się nerwowo. Siedział nieruchomo przez cztery godziny i czuł mrowienie w nogach. Odstawił się od urządzania takich zasadzek. Na początku pracy w policji zdarzało mu się całe noce spędzać na wyczekiwaniu w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach: siedział zaczajony w bagażniku, w śmieciarce, nad obniżonym sufitem... Nagle zerwał się wiatr. Martin zadrżał i podciągnął zamek skórzanego kurtki. Poczł gęsią skórę, co było nawet przyjemne w tę gorącą letnią noc. Od kiedy zaczął pracę w CBWPZ, nigdy nie czuł podobnego napięcia. Czas, kiedy bardzo wysoko i często podnosił się jego poziom adrenaliny, sięgał przynajmniej pięciu lat wstecz, gdy pracował w wydziale policji do zwalczania narkotyków. Było to podłe zajęcie i trudny okres w jego życiu, toteż nie żałował, że to już przeszłość. Wolał obecne stanowisko. Zajmował się sprawami związanymi z kradzieżą dzieł sztuki. W ten sposób zaangażowanie w pracę policji połączyło się z jego pasją malarską.

Policjantów, którzy ukończyli kurs historii sztuki organizowany przez Szkołę Luwru, było we Francji może trzydziestu. Tylko po takim kursie można dostać pracę w specjalistycznym oddziale Martina, który mimo że pracował w zamkniętym środowisku muzeów lub sal aukcyjnych, a obracał się bardziej wśród antykwariuszy i konserwatorów aniżeli dealerów i złodziei majstersztyków, czuł się przede wszystkim policjantem. I to policjantem bardzo zajęтым. Francja była ulubionym celem złodziei zabytków, bo rocznie rejestrowano tutaj ponad trzy tysiące kradzieży, co powodowało, że rynek handlu kradzionymi dziełami sztuki zrównał się poziomem z rynkiem handlu bronią czy narkotykami.

Martin pogardzał przestępcami, którzy okradali wiejskie kapliczki z mszalnych kielichów, figur aniołów i Matki Boskiej.

Czuł wstręt do głupoty wandalii, którzy dla zabawy niszczyli posągi w parkach. Nienawidził wszystkich tych, którzy pracowali na zamówienie nieuczciwych kolekcjonerów czy antykwariuszy. Odwrotnie, niż się ogólnie sądziło, złodzieje dzieł sztuki nie byli działającymi w samotności dżentelmenami. Większość z nich działała w porozumieniu z mafią i środowiskiem bezwzględnych bandytów, którzy opanowali rynek przemytu kradzionego mienia i zajmowali się wywożeniem go poza terytorium Francji.

Oparty o maskę starego audi Martin, nie spuszczać wzroku z fasady muzeum, zapalił papierosa. Przez lornetkę wyraźnie widział otwór w szklanym zegarze. Nie włączył się jeszcze żaden alarm, ale Martin wiedział, że już za moment przenikliwość dźwięk syreny wedrze się w nocną ciszę.

*

Trzy sekundy.

Dwie sekundy.

Jedna sek...

Na twarzy Archibalda pojawiło się uczucie ulgi, gdy zobaczył, jak sześć cyfr na ekranie niewielkiego komputera zatrzymuje się w bezruchu. Po chwili kombinacja zaczęła migotać, dezaktywując czujniki ruchu. Dokładnie tak, jak zaplanował. Któregoś dnia być może popełni błąd. Któregoś dnia wykona o jedno włamanie za dużo. Ale nie dziś. Dziś droga wolna. Spektakl może się zacząć.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).